

I. 649.034

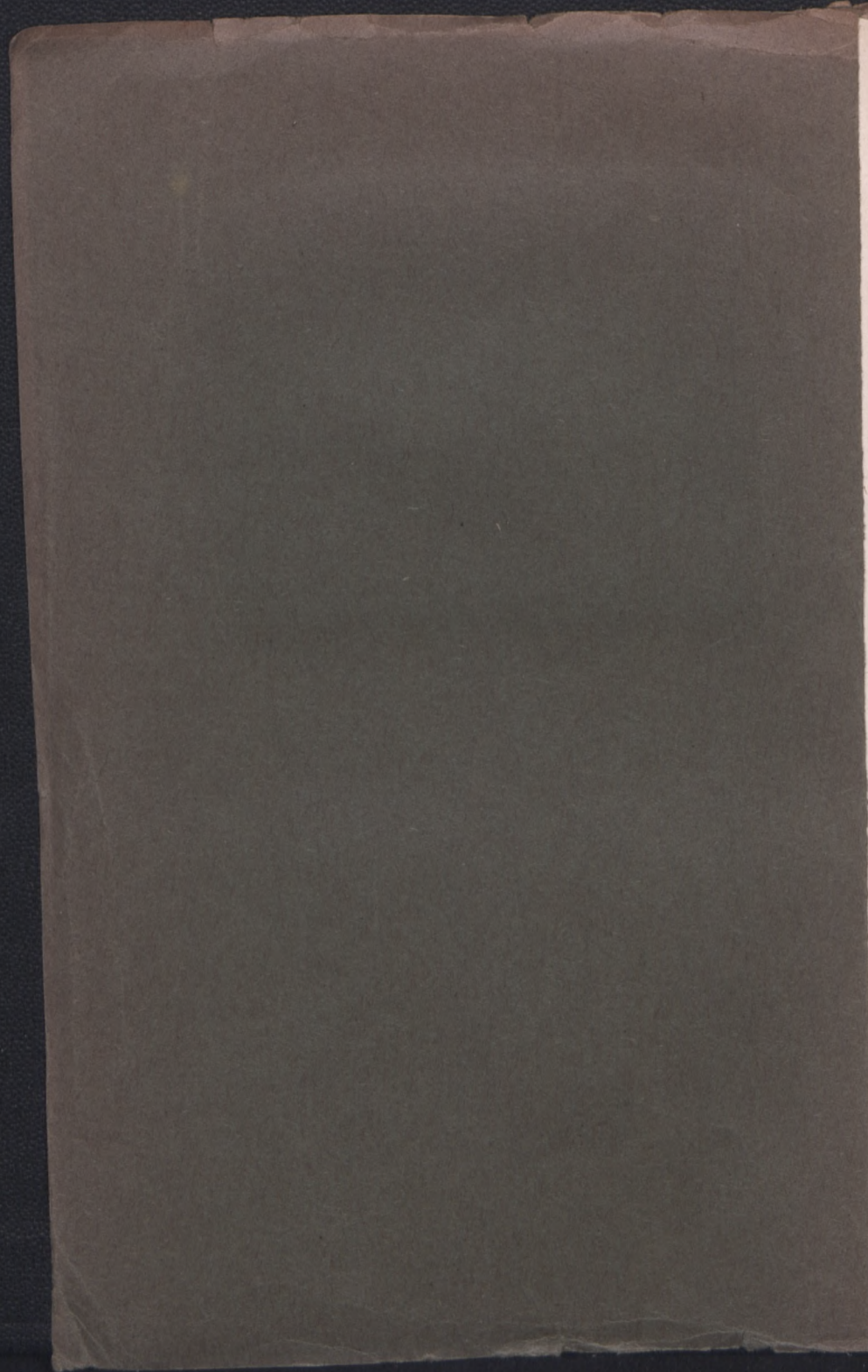
Antoni Małcki.

"Jana Kochanowskiego młodość".

Przez czytania na publicznem posiedzeniu

Akademii Umiejętności d. 28 maja

1884 roku.



1946 YL 2392



I.649.034

IV.

Jana Kochanowskiego młodość.

Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Akademii Umiejętności
dnia 28 maja 1884 roku.

Płynie rok, naznaczony imieniem Jana Kochanowskiego. Za kilka miesięcy przyjdzie narodowi naszemu obchodzić trzecią stuletnią rocznicę zgonu tego wielkiego poety. Dnia 22 sierpnia 1584 r. zrana między 8 a 9 godziną rozbiegła się po Lublinie przerażająca wieść, że p. Wojski sandomirski, sławny wierszopis, od kilku dni w murach miasta goszczący, co tylko życie swoje śmiercią nagłą i niespodziewaną zakończył. Przepelniony był wtedy Lublin ludźmi wszelakiego stanu, ze wszystkich ziem i powiatów kraju, ponieważ było właśnie czas odbywającego się sejmu, zwołanego do Lublina przez króla Stefana. Wrzało życie na wszystkich punktach. Ruchliwa rzesza przybyłej szlachty płynęła ulicami jak fala. W około senatorskich gościń i wybitniejszych posłów sejmowych tworzyły się grupy ich przyjaciół i zwolenników. Obliczano

siły stronnictw, układano plan dalszego działania, werbowano przekonania dotąd nieuprzedzone lub chwiejne. — Wśród tych kół ożywionych widziano dniem jeszcze wprzód poetę czarnoleskiego, przyjmującego z właściwą mu kordyjnością uścisk dłoni każdego co się doń zbliżył, aby z nim znajomość dawną odnowić, świeżą zawiązać. Oglądano go w pozornej pełni siły i zdrowia, żywo omawiającego z niejednym z bliższych przyjaciół sprawę, która go, niebędącego posłem, do Lublina sprowadziła. Chodziło o przypomnienie królowi i sejmującym stanom nieporuszonej dotąd zbrodni, nieskarconego dotąd zabójstwa, dokonanego zdrańdnie i wbrew prawu narodów przez Turków, tam na ich ziemi, na Jakóbie Podlodowskim, krewnym poety. Właśnie miała się w dniu tym pamiętnym odbyć audyencyja naznaczona przez Batorego do wysłuchania téj skargi. Właśnie w chwili, kiedy oczekiwano przybycia poety przed tron królewski, przyniesiono doniesienie, że nie przybędzie, gdyż przed tronem Boga już stanął.

Wszelka zasługa i każda chluba narodu wtedy dopiero odpowiednio do wartości swojej zaczyna się cenić, kiedy się dowiemy, że jój już nie ma, żeśmy ją utracili. A im więcej niespodziana ta strata, tém bardziej i żal powszechny i nieukoiony. Cenilić wprawdzie współcześni swego mistrza nad mistrzami i w ciągu już jego zawodu na ziemi; lecz nigdy pewnie nie zrozumiano w tym stopniu, kogo w nim ojczyzna miała, jak nad jego dopiero grobem. Ze wszystkich pism, pod bezpośredniem wrażeniem téj żałoby narodowej powstałych, a jest ich zasób nie mały, ze wszystkich, mówię, czy to prozą, czy wierszem — czy po polsku wysłowionych, czy w łacińskim języku — czy w formie osobnych utworów, wyłącznie samój tylko

zmarłego czei poświęconych prac piśmienniczych, czy przeciwnie, mimochodem rzuconych wzmianek o zgonie Kochanowskiego, w toku dłuższej dziejowej osnowy, jedno tylko płynie uwielbienie i cnót człowieka i genijuszu pisarza, jedno niepodzielne uznanie zasług, położonych około mowy, literatury, smaku i poczucia estetycznego w narodzie. W owych prostych słowach Bielskiego, że byłto „poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się drugiego takiego spodziewać można“, wypowiedziane zostało powszechne tamtoczesne zdanie, któremu i z późniejszych nikt nie zaprzeczył i które pozostało literalnie prawdziwem przez dwa z górą stulecia, poniekąd zaś jest prawdziwem nawet i dzisiaj. Bo jakkolwiek doczekaliśmy się w ciągu trzeciego po Kochanowskim wieku mistrzów słowa, śmiało mogących się równać z nim i więcej na umysły nasze wywierających potęgi, aniżeli ten ojciec poezyi polskiej, całą epoką oddalony od tegoczesnych prądów, to pozostały mu i tak jeszcze zalety, w których mu żaden nie dorównywa — zdrowe natchnienia, harmonijna równowaga duchowa i ta spokojna, pewna siebie siła, której zaczerpnąć mógł tylko z równie zdrowych, czerstwych i żywotnych stosunków społecznych i politycznych.

Uznając w nim męża takiego, niedziw, że się Polska cała w tym roku więcej niż kiedy myślą swoją ku niemu zwraca, pamięć jego ze szczególnem uwielbieniem odświeża, pod hasłem jego imienia w jedno łączy i do ożywionej pracy duchowej wspólnym wysiłkiem zabiera. A jeżeli ze stron wszystkich przychodzi nam się spotykać z dążeniami takimi, toć nie podobna, aby i to posiedzenie dzisiejsze skończyć się miało bez oddania czei należnej Kochanowskiemu. Z woli kolegów mnie się dostał w udziale za-

szczyt, uczynienia w imieniu Akademii zadość potrzebie, którą wszyscy czujemy. Występuję przed dostojnym zgromadzeniem jednakże z niejaką nieśmiałością, albowiem przynoszę drobną tylko część żywota poety. Rozporządzając czasem tak skąpo mi wymierzonym, nie mam do wyboru, jak tylko jedno z dwojga: albo przebieść całość życia Kochanowskiego, ujętą w jak najściślejsze kluby i pozbawioną owych rozlicznych, w każdym razie nieobojętnych szczegółów, które takiemu zarysowi same jedne życie i barwy nadają, albo też pozwolić sobie tych ostatnich, lecz w takim razie poprzestać tylko na urywku. Nie wiem, czy dobrze uczyniłem, że wybrałem drugie i że zamierzam roztoczyć przed oczyma słuchaczy moich sam tylko obraz młodości Jana. Zależy mi głównie na tém, aby w nim uprzytomniły się owe wszystkie stosunki i okoliczności wiekowe, przez które młody Kochanowski, chcąc nie chcąc, z natury rzeczy musiał przechodzić i podlegać ich wpływowi, zanim w pewnej dojrzałości umysłowej i artystycznej mógł stanąć na własnej wyżynie. Pragnąłbym dać w tym odczycie odpowiedź na pytanie: Co on komu zawdzięczał? gdzie się czego nauczył? z którymi postronkami kulturami w rzeczywistym zostawał związku? Słowem, co miał ze siebie i ze swego narodu, a co mu przyszło z obcego świata?

Urodził się Jan Kochanowski w r. 1530, w pięknej Sandomirskiej ziemi, w ojczystej wiosce Sycynie pod Sieciechowem, z ojca Piotra herbu Korwin, matki Anny z Białaczowa Odrowążówny. Osobistość rodziców i zasady pa-

nujące w ich domu, nie pozostają nigdy bez przeważnego wpływu na dzieciach. Kiedy się mówić ma o mężu takiej miary, jak ten poeta nasz, chęć zapoznania się bliższego z rodzicami jego staje się tém więcej uzasadnioną.

O ojcu Jana utworzyć sobie można wyobrażenie jedynie z dat, które więcej się ściągają do jego majątkowych stosunków, niż do jego osoby. Musiało być człowiek, u którego zmysł praktyczny górował nad wszystkiém inném: szlachcie rządny, oszczędny, gospodarz biegły w swj sztuce, *faber fortunae suae* postępujący bezwzględnie ku raz wytkniętemu celowi. Bezwzględność ta zdaje się, że czasem u niego przebierała nawet miarkę właściwą. Pozostał w dawnych aktach radomskich dokument sądowy z r. 1511, który tego Piotra K. w wątpliwém stawia świetle. Jestto wyrok na niego i na starszego jego brata imieniem Jana, przeciw którym własna ich matka wniosła była skargę o to, iż niedość, że ją wyrzucili z dóbr zapewnionych jój w dożywociu przez zmarłego męża, ale nawet zaprzeczają jój spokojnego posiadania wiosek jój własnych dziedzicznych. Sąd przyznał słuszość skarżącój, a bezwzględność synów skarcił. Możeto był wybryk młodości, jakkolwiek już pełnoletniój; miał bowiem Piotr lat wtedy 26, a Jan był mu starszym bratem. — Na dalszém życiu ojca poety naszego nie widać jednakże już drugiej podobnej skazy — chociaż dbałość o dobra doczesne musiała zawsze bardzo wiele u niego znaczyć. Ojciec Jana rozpoczął rządy na własny rachunek dopiero po skutecznionych działach między rodzeństwem, z 6 braci i 4 sióstr złożoném. W następstwie tych działów, dokonanych r. 1519, całą schedą z majątku familijnego nań przypadłą, była połowa Czarnego lasu i to z włożoném nań jeszcze zobowią-

zaniem, żeby z pomiędzy sióstr jedną aż do jej wyjścia za mąż miał przy sobie, a następnie i wyposażyć. Pomimo tak trudnych początków potrafił nasz czarnoleski współdziedziec w niedługich stosunkowo latach tak pokierować interesami, że się mógł liczyć do zamożniejszej szlachty w swoim powiecie. Już w roku 1527 rozszerzyła się szczupła jego posiadłość o drugie tyle, a to przykupionym sąsiednim folwarkiem Rudą wraz z młynem. Był wtedy jeszcze bezżenny. Kiedy pomyślał o ustaleniu losu swego związkiem małżeńskim, przekraczał już czwarty krzyżyk. Wybór osoby był pod wszelkim względem szczęśliwy. Anna z Białaczowa, panna, i zacna, i z domu dobrego, o 22 lata młodsza od męża, wniosła w dom jego nie tylko statek, ale i posag przechodzący zwykłą miarę średnio-szlacheckiego wyposażenia, braci bowiem nie miała. Małżonkowie krótko po ślubie nabywają położoną nieopodal Sycynę, do której i stałą swoją rezydencję przenoszą. W kilka lat potem przykupują Konary (r. 1540), następnie Barycz, wreszcie i Wolę Szelażną (roku 1543). Ze wzrostem majątku szła w parze i estyma sąsiadów. Dowodem jej piastowany co najmniej już od r. 1535 przez Piotra Kochanowskiego urząd generalnego sędziego ziemi Sandomirskiej, zapewne połączony i z korzyściami materialnymi, odpowiedniami godności. Do tego majątku przybyły w późniejszych latach (około r. 1555) trzy jeszcze wioski; tego jednak już sędziego sandomirskiego nie dożył, zszedł bowiem ze świata w r. 1547, licząc 62 lata wieku.

Z wdzięcznością mogła sobie wspominać ojca takiego pozostała rodzina, z wdzięcznością mówi o nim i Jan w wiadomym nagrobku. Podobieństwa charakterów jednakże między synem a ojcem nie było.

O naturze matki tyle nam tylko wiadomo, ile nam o niej powiedział nieznany z nazwiska biograf Jana, w kilku słowach mimochodem rzuconych o niej, w tym najdawniejszym życiorysie poety, powtórzonym później dosłownie przez Starowolskiego. Była to osoba niepokalanéj czystości duszy, niezrównanéj prostoty i w ogóle obyczajów prawdziwie starodawnego zakroju. Z zaletami niewieściami łączyła silną a stałą wolę, a dała tego dowody, kiedy jéj przyszło po wczesnym zgonie małżonka podjąć na się saméj jednéj, ciężar wychowywania licznéj, po większéj części drobnéj jeszcze dziatwy, a zwłaszcza synów, których w karbach należytych trzymać umiała i prowadziła po drodze wytkniętéj ręką surową (*severissima disciplina*). Jeżeli te kilka rysów dopełnimy sobie w myśli osnową ostatniego z *Trenów*, osnową owego trenu, w którym syn jéj, ze wzrokiem w trumienkę swego dziecięcia utkwionym, pogrążony w martwéj zadumie, na wszystko co go otacza zobojętniały, widzi w duchu tę matkę przed sobą, przemawiającą do niego owemi głębokimi a nieubłagane trzcźwemi słowy, które się stają ostateczném na jego boleść i rozpacz lekarstwem, słowami, do których podobne nieraz pewnie z ust jéj sły-szał kiedyś, pod jéj macierzyńską opieką wzrastając: to nam to wystarczy na utworzenie sobie o tém wyobrażenia, jaką Kochanowski miał matkę, jakie zasady w niego wpa-jała, jakie dążności mógł wynieść z domu rodzicielskiego. Duch matki żył w wyobraźni Jana do samego końca dni jego. Idealna natura matki przypomina się przez cały wątek jego żywota.

O pierwszych początkach nauki szkolnej Jana Kochanowskiego i jego braci, nie można podać żadnych szczegółów pewnych. Widać tylko, że zdolnościami wrodzonymi, równie jak i chęcią do nauk, odrazu musiał nieporównanie przewyższać innych swych braci, skoro ojciec jego jednego z nich wszystkich do stanu uczonego przeznaczył i do Krakowa na akademię posłał. Zaszło to w jego roku 14tym, 1544, jak nas o tém powiadamia księga tamtoczesna wpisowa do dziś dnia zachowana w uniwersyteckiem archiwum, w której imię „Jana Kochanowskiego z Sycyny“ jako świeżo wstępującego w poczet młodzieży słuchacza wydziału sztuk wyzwolonych, pod tym rokiem jest zapisane. Godność dziekana piastował w owym semestrze, a było to półrocze letnie, mistrz sztuk wyzwolonych Michał z Główny. Berło rektorskie trzymał w ręku Jan z Piotrkowa, profesor teologii.

Uniwersytet Jagielloński w owym czasie nie miał już takiej świetności, jak dawniej, w wieku XV. Duch nauki i metoda pozostała w nim wprawdzie taką samą, jaką była za czasów największej jego wziętości; ale właśnie ta zbyt wyłączna i twarda wierność dawnym tradycjom, pozbawiała go już w téj epoce i wpływu i rozgłosu, jakie sobie dawniej był zjednał. Powstawały w sąsiednich Niemczech w czasie, kiedy szkoła krakowska zażywała już swęj sławy, liczne jedna po drugiej wszechnice, które samą już swoją nowością, szczodrobliszą protekcyją książąt swoich, sławą niektórych profesorów, a nadewszystko planem naukowym, więcej do potrzeb i prądów czasowych zastosowanym, coraz bardziej zaćmiewały słynność akademii krakowskiej, do tego stopnia, że i sami Polacy, i to właśnie z najpięrszych rodów, w wieku XVI już najzwyczajniej pomijali ten

zakład, a szukali cudzych bogów w takim Lipsku lub Wittenbergu, że tu nie wspomnę już włoskich uniwersytetów, które jako pierwszorzędne w tamtoczesnym świecie ogniska życia naukowego, jak od czasów najdawniejszych, tak i teraz przepełnione były polską młodzieżą. Do tego zwrotu umysłów przyczyniały się niemało i religijne nowinki, które za wystąpieniem Lutra stanowiły główny żywioł badań i działań w tych świeższej daty akademijach niemieckich. Sama ciekawość ciągnęła do nich, a zwłaszcza do Wittenberga, słynącego w owym czasie Melanchtonem. W owym letniem półroczu r. 1544, w którym Kochanowski w poczet młodzieży krakowskiej wstąpił, a z nim i innych 162 młodych ludzi, razem z nim zapisanych do Album jako świeżo przyjęci, mogła się Wittenberska wszechnica chlępić ilością 423 takiegoż nowego zaciągu, chociaż ją wokoło otaczało kilka w pobliżu podobnych zakładów i choć rywalizować z niemi musiała. Kochanowskiego koledzy i rówieśnicy krakowscy, było, z wyjątkiem paru Węgrów i kilku Ślązaków, sama tylko młodzież krajowa, po największej części o nazwiskach nieznanego zkądinąd brzmienia. A tam złożyły się na ten przyrost frekwencji różne narody i rasy — od Szwecyi aż do Hiszpanii — a między niemi figuruje i sześć nazwisk z naszego kraju z epitetami *Polonus nobilis*; kontyngens w tamtym roku nie wiem dla czego stosunkowo mniej liczny, w innych bowiem latach i wprzód i potem, przybywały ich do Wittenberga znaczniejsze zwykłe ilości po 10, po 12 i t. p. we wzrastającej progresyi.

Do podobnych rezultatów przychodzimy i przepatrując księgi wpisowe Lipskiej wszechnicy, z których wyciąg wszystkich uczniów naszego narodu ogłosił w ostatnich

czasach Tomkowicz. W stosunki zaś innych uniwersytetów niemieckich z tego punktu widzenia nikt się dotąd nie zapuścił, choć i to byłoby bardzo potrzebném.

Jakkolwiekbyś, myliłby się jednak, ktoby z tego co tu powiedziałem wnosił, że mistrzowie akademii Krakowskiej w owym czasie zalegali pole i pod względem extenzywnego działania. Każdy z nich był zobowiązany co najmniej do jednój, czasem i do dwóch codziennych prelekcyj, a sama już liczba tych uczonych imponuje w porównaniu ze stosunkami tegoczesnemi. Rezydujących w *collegium majus*, czyli t. zw. starszych kolegów, wydziału sztuk wyzwolonych (o innych bowiem wydziałach, jako Kochanowskiego nieobchodzących, tu nie mówię), było w owych latach dziewięciu; młodszych, czyli *collegae minores* czternastu; a niewcielonych do żadnego jeszcze *collegium*, chociaż czynnych i gorliwiej może jeszcze niż tamci dobijających się stanowiska, którychbyśmy po dzisiejszemu docentami prywatnymi nazywać mogli, a wtedy nazywali się *magistri extranei*. tych poczet dochodził co najmniej do dziesięciu. Miał przeto w czém wybierać nasz młody sandomirski sędzie, ogólna bowiem ilość wszystkich profesorów jego przechodziła liczbę trzydziestu. Prelekcye głównie były dawane w *collegium majus*, dzisiejszym gmachu bibliotecznym. Poczynaly się w porze zimowej o 7mej, w lecie już o 4 godzinie rano i trwały do 4tej popołudniu, z krótką tylko przerwą między 11 a 12 godziną dla zjedzenia obiadu. W soboty nie było wykładów z katedry. Natomiast toczyły się w tych dniach w dwóch albo trzech salach równocześnie dysputy naukowe, głównie odbywane przez młodszych członków korporacyi akademickiej, w których nietylko uczniowie, ale i profesorowie uczestniczyć byli po-

winni, przysłuchując się temu, co było mówione, a czasem i czynny udział biorąc w dyspucie.

A czy nie możnaby w szczególności wiadomości jakich udzielić o profesorach Kochanowskiego? — Dzięki księgom z tamtego czasu, przechowanym w archiwach tutejszych, znamy ich wszystkich, lecz po największej części jedynie z nazwiska, niekiedy ze stanowisk wyższych, o ile dostały im się w udziale później w hierarchii kościelnej; znamy ich czasem z pism zalegających w rękopisie w tutejszej bibliotece, w których wewnątrz nie zająrzała dotąd niczyja ciekawość — a już w rzadkich tylko razach z dzieł drukiem publikowanych, którymi imię swoje wstawili. Co do niektórych, choć się nie pokusili o autorską sławę, pozostały nam zapiski, charakteryzujące wartość ich wiedzy lub profesorskiego wykładu. Tak n. p. o Pawle z Raciąża, jednym z młodszych kolegów, dopisała przy nazwisku jego na brzegu księgi jakaś ręka współczesna: „*Maximus philosophus et mathematicus et disputator subtilis sophisticus*“. A ktoś późniejszy miarkuje tę pochwałę w ten sposób: „*Optimus lector, licet parum resumebat ad unguem, tamen lectionem omnem explicabat, scilicet prout ei liquebat*“. Ciekawem byłoby wiedzieć, którą z tych dwóch przeciwnych sobie opinii o Pawle z Raciąża podzielał Jan Kochanowski. Umarł ten mistrz w młodym wieku w r. 1547 na morową zarazę wtedy grasującą w Krakowie.

O innym profesorze niech mi tu będzie wolno wspomnieć z inną przyczyną. Mam na myśli Jana Silviusa z Sieciechowa. Sieciechów — wszakże to najbliższe sąsiedztwo Sycyny i Czarnolasu. Ale spostrzegam jeszcze ścisły związek, który mógł z tym Janem Silviussem łączyć naszego sędzica sandomirskiego. Zachował się w ar-



chiwum sieciechowskich Benedyktynów dokument z r. 1552, mocą którego tamtoczesny opat wraz z całym swoim konwentem darzy na czasy wiekuiste sieciechowskiem wójtostwem „*providum Benedictum Czarnolas*“ wraz z rodzonym tegoż Czarnolasa bratem Janem Silviusem, profesorem filozofii i mistrzem akademii krakowskiej, któreto wójtostwo za niewysoką wkupną cenę nadaje im się za wierne i przez jednego i drugiego z tych braci około klasztoru położone usługi. Dowiadujemy się zatém, że nazwa Silvius była tylko zlatynizowaniem rzeczywistego jego nazwiska, które brzmiało Czarnolas i którego domorosły brat profesora Benedykt, używał w tém brzmieniu polskiém do końca życia; profesor przeciwnie, zwyczajem wszystkich tamtoczesnych uczonych, hołdujących prądom renesansowym, przekształcił je na klasyczne i rzymskie. Nazywali się ci bracia Czarnolasami oczywiście od miejsca, z którego czy to sami, czy ich ojciec (potém w Sieciechowie osiadły) pochodził. A skoro się zważy położenie dziedzicznej wsi Kochanowskich Czarnylas, pod Sieciechowem, to wątpić pewno nie można, że z tegoto Czarnego lasu, a nie innego, wyjść musieli — może synowie podstarościego, albo jednego z kmieci w téj włości; bo że nie byli z krwi szlacheckiej, to widać z epitetu danego Benedyktowi w dokumencie *providus*, a nie *nobilis* lub *generosus*. Usługi uczonego Jana Silviusa Benedyktynom wyświadczone, mogły zapewnie na tém tylko polegać, że przez dłuższy przeciąg czasu tenże Silvius czy to jako nauczyciel, czy jako kierownik szkoły klasztornej w Sieciechowie działając, zjednał sobie takie względy opata. A jeżeli po tém wszystkiém i tę jeszcze okoliczność zważymy, że ten Jan Silvius w tym samym właśnie dopiero 1544 roku w Krakowie w *collegium*

minus się pojawia, w którym młody Kochanowski studyja swe tamże rozpoczął, to już trudno oprzeć się pokusie wiodącej do przypuszczenia, że ich znajomość nie dopiero w owym roku się wszeźła. Najpewniej w tęto sieciechowskiej szkole i Jan Kochanowski i inni bracia jego pod tym mężem, z ich domem bliższe stosunki mającym, początkowe pobierali nauki. Razem z mistrzem swoim przeniósł się potem nasz Jan do Krakowa, a i przez następne lata, akademikiem już będąc, pod jego pewnie opieką i kierunkiem bezpośrednim pozostał. — Czas śmierci mistrza Silviusa przypadł na r. 1553. Stopień magistra *artium* otrzymać on musiał w wieku swoim już nieco spóźnionym, w r. 1539. Co znaczył jako uczony, nie wiem. W pierwszym semestrze pobytu Kochanowskiego w Krakowie wykładał *spheram materialem*, a więc przedmiot jakiś z astronomii.

Do mężów rzeczywiście wyższej zdolności w tamto-czesnym wydziale sztuk wyzwolonych zaliczać należy następujących trzech: Wojciecha z Nowogopola, Szymona Maryckiego i Jana Leopolite. Do nichto przedewszystkiem mógł nasz Jan czuć pociąg i korzystać z ich wykładu.

Nowopolski, lepiej nam znany pod zlatynizowanem swoim nazwiskiem Albertus Novocampianus, zwrócił się w późniejszych latach ku umiejętnościom lekarskim i teologicznym. Zostawił w obydwóch tych umiejętnościach dzieła po łacinie pisane, z których jedno szczególną mieć musiało wziętość nawet w Niemczech i Francyi, skoro w powtórnych tam wychodziło wydaniach (z r. 1561 i 1572, kolońskiemi i lugduńskimi). W czasie studyjów krakowskich Kochanowskiego zajmował się jednakże Novocampianus filologią łacińską i wydał książkę, czasu swojego bardzo

cenioną i wykładową, *De accentibus et recta pronuntiatione*. Wyszła r. 1548 i miała później dwie jeszcze inne edycyje. Był ten Nowopolski potém kierownikiem wychowania młodego królewicza węgierskiego, syna Jana Zapolii. Życie zakończył r. 1588.

Jan Leopolita, tak nazwany od miasta swego rodzinnego Lwowa, rzeczywiście zaś zwał się Niez, siedmiu laty tylko starszy od naszego poety, zajmował wtedy jeszcze skromne stanowisko docenta prywatnego. Byłto mąż porywającej wymowy, do największych później mowców kościelnych zaliczany przez Wujka i przez Skargę; ma swoją zaszytną kartę także i w historii piśmiennictwa religijnego, a nadewszystko zasłynął i potomności imię swoje przekazał jako jeden z naszych najpiérwszych tłumaczy Pisma św. W tamtych czasach dawał Leopolita prelekeyje tylko w świeckich różnych przedmiotach. Zszedł ze świata w 49 roku swego wieku, 1572.

Najwięcej jednak wpływu na młodym Kochanowskim mógł wyrzucić, najwięcej pocho pu do zasmakowania w humanizmie mógł mu udzielić nie kto inny, jak Szymon Marycki z Pilzna, sławny autor dzieła, mającego i po dziś dzień jeszcze znaczenie, bo i dobrze napisane i pełne ciekawych a trafnych spostrzeżeń o tamtoczesnych edukacyjnych naszych stosunkach — dzieła *De scholis seu academiiis*, wydanego r. 1551 w Krakowie. Wprawdzie przez piérwsze dwa lata krakowskich studyjów naszego Jana były czynności nauczycielskie Maryckiego w akademii wypełniane przez jakiegoś jego substytuta, jak się *Liber diligentiarum* wyraża; sam bowiem profesor ten przebywał wtedy w Padwie, a następnie w Rzymie, dokąd się udał kosztem Wojewody krakowskiego a dobrodzieja swego, Pio-

tra Kmity. Daje mu urlop na ten wyjazd dwuletni rektor i senat akademicki właśnie w początku r. 1544. Lecz po upływie tego czasu powrócił Marycki do katedry, przejęty entuzjazmem najżywszym dla wszystkiego, czego się tam pod włoskiem niebem napatrzył, nasłuchał i o ile czas tak krótki pozwalał — nauczył. Przywiózł z sobą gorący zapal do pracy nad greką szczególnie starożytnością, w znajomości której nikt go u nas w tamtym czasie nie tylko nie przewyższał, ale mu i nie dorównywał. Pragnął Marycki wpoić polskiej młodzieży zamiłowanie klasycznych badań nie tylko słowami, jakie wygłaszał z katedry, ale i przystępnym dla niej wydawnictwem dzieł, najwięcej podziwianych przez niego, bądźto z rzymskiej, bądź z greckiej literatury, które w Krakowie dawał do druku wraz z egzegetycznymi uwagami swojemi i zaopatrzone w przedmowy, z wielką werwą zawsze pisane, podnoszące wzorowość, piękność i ważność tych zabytków zamierzchłej starożytności. Przedewszystkiem zajął się w taki sposób mistrzami celującymi w wymowie tych obydwóch narodów, Ciceronem i Demostenesem, którego mowy wydawał wraz z własnym swoim na łaciński język przekładem. Niedługo niestety wytrwał na tej drodze chwalebnej — obojętność zbila go z toru. Już w r. 1548 z końcem letniego półroczu porzucił *almam matrem* i Kraków i zawód nauczycielski. Pomimo krótkości czasu, przez który mógł nasz przyszedłszy poeta korzystać z wiedzy mistrza Szymona, zdaje mi się, że jednak nie zbłądzę, jeżeli w nim właśnie wskażę człowieka, którego dążność najwięcej zaważyła na szali w kolejach dalszego zawodu tego młodego tak z tamtym spokrewnionego ducha. Marzenie Jana zwiedzenia klasycznej Italii, poznania ludzi nadających ton Europie w zakre-

sie smaku, sztuki, wiedzy i poetyckiej piękności, zaszczone mu zostało niewątpliwie przez tego pierwszorzędnego w kraju naszym wtedy przedstawiciela onęj dążności.

Jak długo przeciągnął się pobyt Kochanowskiego w Krakowie, tego napewne nie wiemy, i różne są co do tego domysły. Nie podzielam przypuszczenia, żeby koniec tutejszym jego naukom była położyła śmierć jego ojca, która, jak wyżej już powiedziałem, przypadła na rok 1547. Krótka przerwa w owęj chwili z tego powodu mogła być nastąpić; ale jakże miał 17-letni wtedy młodzieniec, cheiwy wiedzy i rozmiłowany w swoim zawodzie, a bynajmniej nie mający do walczenia z brakiem funduszków, osiadać dla téj żałoby na kilka lat próżnowania przy boku matki? W kłopotach gospodarskich miała ona dość pomocy w najstarszym swym synu, przezornym i przez całe młodsze rodzeństwo cenionym Kasprze. Dla idealisty Jana nie było nic właściwszego, jak do Krakowa powrócić.

Jeżeli to zaś za rzecz prawdopodobną uznamy, w takim razie zgodzić już nam się wypadnie na zdanie i przez drugich już wyrzeczone, że przebywał nasz Jan tutaj aż do roku 1549, t. j. aż do sławnéj owéj, choć smutnéj, wszystkich uczniów z uniwersytetu i miasta secesyi i rozsyпки na wszystkie strony świata, która z przyczyn każdemu pewnie w pamięci przytomnych, opisanych w Orzechowskiego kronice, wydarzyła się d. 15 kwietnia 1549, a to głównie z podbechtania i pod przywódem burzliwego a mimo to, a raczej może właśnie dla tego, wielki mir mającego między młodzieżą magistra *artium* Marcina Głosy z Wąchocka, który jak przy owéjto sposobności, tak i w dalszym zawodzie swoim tak zawsze działał, jak gdyby się tylko na szkodę swego kraju narodził. Przeżył

resztę swego życia w Królewcu na dworze księcia Albrechta, w którego ręku był jedném z najrzęczniejszych narzędzi do złutrzeń i do niemieczenia Prus wschodnich, wtedy jeszcze przeważnie polskich.

Spotykamy się teraz z przerwą w biografii Kochanowskiego, przerwą blisko dwuletnią (1549—1550), którego lata ani nie wiemy gdzie przeżył, ani czém je zapełnił.

Mojem zdaniem, najprędzej spędził je w domu rodzinnym, przemarzył je myślami o podróży dalekiej, do krainy cudownej, gdzie nie wiedzieć, co wprzód podziwiać — piękność natury, urok klimatu, poetyczność ludu, przepych dzieł ludzkich, sławę mistrzów uczonych, majestat kultu religijnego, a do tego na każdym kroku ślady owęj jeszcze świetniejszej wielkości, minionej i powalonej w ruiny, a jednak władającej nad umysłami i wymowniejszej nad wszystko. Zanim się matka i brat starszy zgodzili na potrzebę i na możliwość tej wędrówki kosztownej, zanim się oswoili z tą myślą, mogło upłynąć czasu tyle, ile go właśnie mamy tutaj przed sobą.

Inni sądzą o tém inaczej i przypuszczają, że na te właśnie dwa lata przypada bytność Kochanowskiego w jednym z uniwersytetów niemieckich. Dała do tego mniemania powód wspomniana tu już bezimienna biografja poety, wedle której miał Jan, po ukończeniu początkowych nauk w ojczyźnie, udać się w celu dalszego wykształcenia najprzód do Niemiec, następnie do Paryża i spędzić w tych stronach lat siedm. Po upływie tych lat siedmiu miał się dalszym studjom oddawać w Padwie i Rzymie.

Z powyższemi datami trudno pogodzić wiadome nam zkadinał szczegóły, a niewątpliwe. Wiemy naprzykład od samego poety, z jego łacińskich elegij, że jego bytność we Francyi przypadła na sam koniec jego nieobecności w Polsce; że wracał do kraju i rodziny z Paryża; że uskutecznił ten powrót w r. 1557. Wiemy, że jego włoskie studia wyprzedziły czas w Paryżu przeżyty i że się zaczęły w r. 1552, pod tymto rokiem bowiem zapisano imię jego w księdze młodzieży, świeżo do Uniwersytetu padawskiego przybyłej.

Wiemy nakoniec, że przez pierwszą połowę roku 1551 bawił w Sycynie, a świadczą o tym jego wtedy pobycie w domu, zachowane dokumenta dawnych sądów radomskich, przed którémto sądami w rzeczonym czasie, w dwóch różnych chwilach, wraz z braćmi swoimi nasz Jan stawał dla załatwienia jakichś urzędowych czynności. Z tego wszystkiego wynika, że podróże Kochanowskiego rzeczywiście zapełniają jedynie przeciąg czasu od drugiej co najrychlej połowy roku 1551 aż do r. 1557, a odnosić je tylko można do Włoch i do Paryża. Dla Niemiec nie ma tu miejsca.

Niemieckie studia dałyby się jedynie umieścić w obrębie czasu po secesyi krakowskiej r. 1547, a przed czynnościami sądowemi w Radomiu w r. 1551, jakoż téż rzeczywiście tam je kładą ci wszysecy, którzy w nie wierzą. Lecz i tak nawet odslaniają się tu trudności, które nie wiem, jakby się dały usunąć.

Przedewszystkiém dziwić to może każdego, że to mniemane zetknięcie się Kochanowskiego z umysłowym światem niemieckim nie pozostawiło ani na nim, ani na dziełach jego żadnych śladów po sobie. Jego bytność we

Włoszech i Francyi byłaby dla nas rzeczą pewną, choćbyśmy o niej zkądinąd nie nie wiedzieli. Rozliczne wzmianki o stosunkach z temi krajami, spotykane w dziełach poëty, starczą za wszystko. Podobnego związku z niemieckim krajem żadne jego słowo nie zdradza. Nie kładę wprawdzie zbyt wielkiego przycisku na owo powiedzenie: „Nie uczyłem się w Lipsku, ani w Pradze wiary. I nie wiem, jako każą w Genewie u fary“, ponieważ słów tych autor nie wyrzekł od siebie, ale je włożył w usta Satyra, który w wiadomym utworze występuje jako personifikacja ducha starodawnéj Polski gromiącego zdrożności, wieku; ale godzi się zapytać, czy nie wieje z tych wierszy pewien wstręt od tych źródeł nowomodnéj, zawracającéj głowy mądrości, który i samemu autorowi nie mógł być obcym? Że bezimienny biograf tak pozytywnie mówi o wyjeździe Jana do Niemiec, nie zdaje mi się być dowodem rozstrzygającym. Tyle nam mylnych dat naopowiadał o tym całym okresie w życiu Kochanowskiego, że i co do tego szczegółu mógł się pomylić, mógł pomieszać rzeczy dotyczące Jana z rzeczami do innéj ściągającemi się osoby, możliwość czego niżej okażę. Inne poszlaki z dzieł Jana powoływane, także nie wytrzymują próby. Tak n. p. owe słowa w wierszu *Do gór i lasów* (wyd. Turow. I, str. 87), gdzie powiada, że był w stronach świata najdalszych, że „Francuzy, Niemcy i Włochy nawiedził“ — czyż mogą stanąć za dowód rzeczy, o którą się tutaj rozchodzi? Kto, jak Kochanowski, z pośpiechem, więc najkrótszą dążył drogą z Paryża do Sycyny, oczywiście musiał „Niemce nawiedzić“. Albo owo drugie miejsce, w utworze pisanym prozą „*O pijaństwie, jako to jest rzecz sproсна*“ (II, str. 173), chwali tu autor Włochów, ponieważ to naród trze-

żwy; o Niemcach zaś powiada: że „takież to oźralcy, jako i my“. Czy spostrzeżenie to słuszne, tego ja nie wiem; ale jeżeli tak było, to ażeby powziąć o tém wiadomość, nie potrzeba było na to studyjów akademickich na miejscu. — Zresztą niechże nam kto dowiedzie nakoniec, którato była ta akademija niemiecka, wybrana przez Kochanowskiego na to, ażeby w niej dopełniać nauk nieukończonych w Krakowie? — Powszechnie wskazują wittenberską, jako szkołę nie tylko pod względem naukowym wtedy między wszystkimi tego kraju, ale i z powodów religijno-konfesyjnych pociągającą do siebie młodzież z całego świata. Z Wittenberga wyszedł Luter; w Wittenbergu panował w tych właśnie latach pod dyktatorsku nad umysłami przyjaciel i pomocnik Lutra Melanchton; do Wittenberga ciągnął i z Polski w tych czasach każdy kto tylko miał na to środki. Że rzeczywiście tak było, tego nie przeczę; ale stanowczo mogę oświadczyć, bo wiem o wszystkich w tej szkole się kształcących Polakach w XVI wieku, że ani Jana, ani żadnego innego Kochanowskiego między uczniami wittenberskimi nie było. Również nie miał zaszczytu liczyć Jana do adeptów swoich i drugi wtedy kwitnący niemiecki Uniwersytet, t. j. lipski, choć znaczna ilość innych naszych rodaków pobierała tam wtedy swoje nauki, a między nimi i rodzony brat poety naszego Mikołaj, autor pozostałych po nim wierszy, wydawanych kilka razy po jego śmierci dopiero już to osobno, już razem z Jana dziełami, pod tytułem „Rotuły do synów swoich“. Mikołaj Kochanowski zapisany jest do Album lipskiej wszechnicy w r. 1555, uczęszczał więc do niej w czasie, kiedy brat jego starszy albo już gościł w stolicy Francyi, albo się do niej wybierał. I ta to też najprędzej okoliczność dała powód bezimiennemu biografowi

Jana do popelnienia omawianej tutaj pomyłki. Tak, jak dzieł tych dwóch braci później częstokroć nie rozróżniano i w oczach niejednego uchodziły za niepodzielną Jana tylko samego własność, tak też ich sudyja spłynęły po ich zgonie w jedno wspomnienie, odniesione do jednej tylko osoby.

Zatém kilkoletni przeciąg czasu, spędzony pod włosem niebem, po bezpośrednim wyjeździe Jana z ojczyzny, począł się w dwudziestej drugiej jego wiosnie i stanowi w każdym razie kulminacyjną w dziejach studyjów jego epokę, której jednak bliższymi szczegółami o nim z tego czasu zappełnić nie możemy, nie mając ich z kąd zaczerpnąć. Że Rzym nawiedził, że do południowych Włoch dotarł, jest rzeczą pewną, ale też na tém kończy się cała nasza w tym względzie wiadomość. W Wenecyi musiał strawić czas dłuższy. Są tego ślady w ulotnych tak łacińskich jak i polskich jego poezyjach. Biograf wspomina o zażyłości z Manucyusem. Uczony ten humanista, Paweł Manuzio, był stałym mieszkańcem stolicy dożów, tam zatém tylko mogli się z sobą widywać. Skoro się znał z Manucyusem, trudno przypuścić, żeby nie był wszedł Kochanowski w bliższe związki i z jego przyjacielem, sławnym Karolem Sigonio, który począwszy od r. 1552 zajmował w weneckiej, wielkiego wtedy rozgłosu, szkole katedrę, choć nazwy akademii nie miała, powołany do niej z Modeny. Tegoto Sygoniusa, mistrza i przyjaciela Zamojskiego, powoływał w kilkanaście lat później do Polski nasz król Batory razem z Antonim Muretem i Jakóbem Zabarellą na profesorów akademii krakowskiej — niestety bezskutecznie; władze włoskie, zazdrosne sławy tych me-

zów, podwyższając szczerze ich płace, potrafiły udaremnić to staranie się o nich króla polskiego. Również i co tylko wspomniany Muret, rodem Francuz, czterema tylko laty starszy od naszego Kochanowskiego, nie mógł mu pozostać nieznanym, jeżeli, jak przypuszczam, pobyt Jana w Padwie przeciągnął się po za rok 1553; już w następnym bowiem roku pierwszorzędny czasu swojego ten latynista, osiadł tam nad Adryjatykiem w charakterze publicznego profesora, porzuciwszy francuską swoją ojczyznę, w której nie widział właściwego dla siebie pola działania.

Jednakże powyższe stosunki z Wenecją mogły mieć dla Kochanowskiego tylko drugorzędne, pomocnicze znaczenie. Właściwem źródłem, z którego wiedzy zaczerpnął, była dla niego Padwa; z tém miejscem łączył go stale jego akademicki charakter i tu najdłużej przebywał. Trafił tu na czas największego rozkwitu nauk, wykładanych w uniwersytecie przez pierwsze siły, na jakie się zdobyć wtedy mogła ta ziemia klasyczna, na czas wielkiego też do téj szkoły napływu młodzieży z całego świata. *Poëtae, oratores, philosophi non ignobiles Patavii habitant* — pisze do swego rodaka jeden ze współczesnych, a nieuprzedzonych, bo postronnych świadków tego życia umysłowego — *et sapientia in unam urbem commigravit veluti in aliquam domum, ubi Pallas omnes artes docet. Neque ullus locus est, ubi melius tua illa inexhausta legendi et audiendi aviditas exsatiari possit*“. Szczególniej był Kochanowskiemu przewodnikiem w jego postęпах tutejszych humanista, wierszopis łaciński i profesor padewski Franciszek Robertello, powołany do wykładu rzymskiej i greckiej literatury po śmierci Łazarza Buonamiciego w r. 1552, a zatem właśnie w chwili przybycia Jana naszego do

Padwy. W późniejszych latach, po roku 1560, zmniejszył się urok imienia tego męża, kiedy się zadał w namiętną polemikę ze Sygoniusem, ubliżającą i powadze stanowiska, jakie zajmował, i godności nauki, której był przedstawicielem. Byłto bowiem człowiek gorącej krwi, zaciekle i niepowściągliwy, cheiwy sławy, nieznoszący współzawodnictwa, gotów do walki z każdym, kto mu się zdawał być zdolnym do zakwestyjonowania jego przewagi. Sygonius wprawdzie o tém nie myślał, ale znajdował się względem niego właśnie w tém położeniu, zwłaszcza od czasu, kiedy i jego już przeniesiono do Padwy, tak, iż chcąc nie chcąc musiał rywalizować z kolegą. Rozdzieliła się wtedy cała młodzież uniwersytecka na dwa przeciwne sobie i nienawistne obozy, któryto rozdział i rozbrat przeszedł w końcu na takie tory, że spowodował nareszcie władzę rządową do surowego wkroczenia w te zatargi uczonych. To więc nastąpiło później. Lecz w owych latach pobytu Kochanowskiego we Włoszech, poczynął się dopiero ów antagonizm, i miał Robortello wtedy powszechne jeszcze nznanie gruntowności, erudycyi, smaku, bystrości krytycznej, zamiłowania w nauce i niepośledniego talentu, którychto zalet nie można mu było i później nawet, pomimo wszystkich przywar jego osobistych, odmawiać. Wydawał w krótkich po sobie odstępach wiele dzieł w swoim czasie cenionych, treści po największej części literacko-dziejowej i estetycznej, w odniesieniu do starożytnych klasyków obojga języków. A nierównie bardziej jeszcze pociągał uczniów ku sobie swoim pełnym życia i werwy, prawdziwie wymownym i zajmującym, wykładem ustnym, pod którymto względem równać

się z Robortellem nie mógł nawet głębszy od niego jako pisarz i jako badacz, przeciwnik jego Sygonius.

Osiągnąwszy już korzyści, jakie przy zdolnościach w takim kraju, pod takiem kierownictwem i wśród takiego otoczenia można było sobie przyswoić, zwrócił się Kochanowski ku Francyi, zamienił Padwę na Paryż, w którym roku to zaszło, tego nie wiemy. Jaki był cel tój podróży? czego mógł szukać w Paryżu? — trudno i to odgadnąć. Że nie dla uniwersytetu, ani dla nauk tam jechał, widzi mi się być pewnem.

Uniwersytet paryski miał w zamierzchłych wiekach średnich prawowicie nabytą sławę pierwszorzędną w świecie szkoły i korporacyi ludzi uczonych. Od Abelarda w wieku XII począwszy, idzie przez kilka dalszych stuleci zwarty szereg mężów wielkiego imienia, około których w tém mieście gromadziły się tłumy chciwych ich słowa słuchaczów. Składały się one nietylko ze szkolnej młodzieży, ale i z ludzi dobrze już obytych z nauką; z krajowców i z wędrowców zdaleka, a ci ostatni przybywali do Paryża nietylko ze stron otrząsających się dopiero z ciemnoty, ale i z krajów posiadających już i własne takie ogniska lub zawiązki życia umysłowego jakimi były Oxford i Cambridge dla Anglii, Walencyja, Coimbra i Salamanca dla Hiszpanii, Bolonija, Salerno i Padwa dla Włoch i t. d. Idee przewodnie w wykładach tych nadsekwańskich, pochwycone przez podziwającą je młodzież, stawały się potem hasłami ruchu naukowego i wszędzie indziej. Pisma tu dyktowane przez takiego Piotra Heliae albo Piotra

Lombarda, stawały się potém tekstem naukowym i materiałem wykładu dla szkół w całej dalszej Europie, o ile takowa brała udział w téj wspólnej pracy duchowej.

W epoce odrodzenia sztuk i nauk jednakże, dał się ten Uniwersytet wyprzedzić innym. Jakoż już od XV wieku poczynawszy, taki w nim widzimy stan rzeczy, że jeden chyba tylko teologiczny wydział utrzymywał się i nadal przy reputacyi, jaką sobie zdobył był w wiekach poprzednich. Inne nauki, a zwłaszcza w wydziale sztuk wyzwolonych, kiedy się je porównywało ze sposobem, jak je pielegnować zaczęto we Włoszech, nie mogły w nikim, co rzecz znał zbliska, podziwienia obudzać. A chociaż tak u nas, jak w innych krajach ceniono sobie i wtedy jeszcze wysoko zaszczyt stopni akademickich osiągniętych w téj akademii, przypisać to należy daleko bardziej sile tradycyi i powziętój raz wiary w doskonałość paryskiej umiejętności, aniżeli znajomości stosunków.

Dla ilustracyi tego, co mówię, niech mi będzie wolno przytoczyć okoliczność następującą: Pod koniec XV wieku miała akademia krakowska w swoim gronie profesora, nazywanego powszechnie „mistrzem paryskim“ (*parisiensis*) z powodu, że z Paryża przywiózł sobie ten stopień. Był nim Michał z Bystrzykowa. Otóż kiedy z tą promocyją do Krakowa powrócił, trzeba mu było dokonać tu formalności, którą my dziś zowiemy nostryfikacyją doktoratu, a tamto-cześni nazywali to „*respondere pro loco*“, t. j. examinem a raczój dysputą o miejsce przyznać się odnośnej osobie mającej między mistrzami tutejszymi. Dysputa tego paryskiego mistrza trwała dzień cały i następnego połowę, a oponentów wystąpiło przeciwko niemu 30 — sami już w posiadaniu miejsca będący mistrzowie. Przedmiotem dy-

sputy była propozycja, którą tu muszę powtórzyć w oryginalne, na polskie bowiem przełożyć jej wcale się nie podejmuję. Brzmiała tak: *Utrum materia prima sit entitas actualis et potentativa simpliciter simplex, per se cognoscibilis et per se reponibilis in praedicamento, ab entitate formae et privatione realiter distincta et absque contradictione ab eisdem separabilis?*

Takiéjto więc filozofii uczono wtedy w Paryżu i takó w téj akademii wtedy mówiono łaciną! Zdarzenie, o którém wspomniałem, ściąga się wprawdzie do czasu nieco dawniejszego, zaszło w r. 1485; lecz stosunki tego rodzaju, wynikające z panującego systemu, skłonnością tradycyjną całej korporacyi poparte, szczególnie w tamtych wiekach, powolniejszym tępem bijących, nie dawały się tak łatwo przekształcać i ku lepszemu nawodzić. Zresztą nie brak nam i wręcz na świadectwach autentycznych, bo i krajowych i współczesnych i z pośród samego tego uniwersytetu wynikłych, że w nim stan rzeczy nawet i za Franciszka I jeszcze najskromniejszych wymagań nie zaspakał. „*Ante excitatum a Francisco rege humanitatis studium, omnium artium barbaries in Academia regnabat*“, mówi Piotr de la Ramée (Ramus), profesor łacińskiej wymowy w téj akademii za czasu rządów Karola IX, w mowie mianéj do tego króla „*Pro reformatione universitatis*“. Wzbudzenie dążeń humanistycznych, wspomniane tu jako czyn za Franciszka I, zasadzało się na tém, że zostało założone i uposażone przez tego króla około r. 1540 nowe kolegium, t. zw. „królewskie“, zaopatrzone w katedry, między innemi i do wykładu wszystkich trzech starożytnych języków. Jedną z tych katedr właśnie zajmował wspomniany co tylko Ramus. Był gorącym zwolennikiem

klasyczno-humanistycznych dążeń; całe życie toczył walkę ze stronnikami dawnego systemu, którzy i potem ton nadawali w uniwersytecie; i z ich to też poduszczenia marną śmiercią zakończył życie, zamordowany przez najętą rękę w r. 1572. Że dbał o piękność języka, nazywano go *logodaedalos* — i ztąd cała między nimi nienawiść.

Powyższe jednostronności i niedostatki w paryskich uniwersyteckich stosunkach nie mogły oczywiście być niewiadome Kochanowskiemu, i byłoby to zaprawdę rzeczą dziwną, gdyby po tém wszystkiém, co przeszedł on, młody człowiek, lat sobie już liczący wtedy conajmniej 25, miał był podjąć ową podróż do Francyi, jako presumptywny student szkoły, w którejby nie bez pożytku dla niej mógł był zająć miejsce i profesora. Tak być w żaden sposób nie mogło. W czém inném szukać należy powodu tej podróży Jana do Francyi. Mógł chcieć kraj zwiedzić, stolicę jego poznać, języka się nauczyć, wreszcie rozerwać się po kilkoletniej mozolnej pracy — albo były tej bytności w Paryżu jakie inne jeszcze przyczyny, nad którymi głowę łamać nie zda się na nic.

Cokolwiekbądź było, jednakże pominąć nie możemy, że po za murami szkoły rozgrywały się w tamtoczesnej stolicy Francyi, w jej sferach inteligentnych, dążności, które dla poezyi francuskiej epokowe spowodować miały następstwa; działy się rzeczy, które i naszego wędrowca uwagę zwrócić na się musiały i zajmować go coraz żywiej. Na sam środek XVI stulecia przypadł tam przełom w literaturze. Dawne tradycyje zużyły się, dawne sposoby rymotwórstwa straciły urok. Przed oczyma młodszej generacji stanął inny ideał. Wytknięto sobie inną drogę, wywieszono inny sztandar, pod nowém hasłem rozpoczynano zwrot z do-

tychczasowych torów. Cała plejada sił nowych pojawiła się na widowni — Ronsard wziął pod swoje rządy parnas francuski.

Wiele już mówiono wpływie tego poety na Kochanowskiego. I ja pewnego wpływu nie przeczę — nie trzeba tylko przeceniać go, ani tam szukać, gdzie go nie było i być nie mogło.

Nie mówiłem dotąd wcale o Kochanowskim jako poecie, ani o jego poezjach. Śledziliśmy jedynie bieg jego nauk, rozwój jego wykształcenia. Teraz spróbujmy jednak utworzyć sobie o tém wyobrażenie, co mógł on znaczyć jako poeta w chwili, kiedy się z Ronsardem spotkał, i czém był w chwili owój i Ronsard.

Przypuszczam, że wrodzony Janowi naszemu pociąg poetycki, władać nim zaczął we wczesnym już wieku, i że nie ograniczał się u niego do samego tylko podziwiania obcych kreacyj. Żyłka poetyczna zdaje się była w jego rodzie familijnym dziedzicznym darem. Jeden z najmłodszych jego braci, Andrzej, zostawił po sobie przekład Eneidy. Drugi brat, Mikołaj, naucił pieśni, których tylko pewnie część stósunkowo nieznaczna zachowaną nam jest pod nazwą *Rotulów* do swoich synów. Jeden z tych właśnie synów Mikołajowych, Piotr Kochanowski, dokonał tłómaczenia Jerozolimy Tassa i Orlanda Ariosta, wierszem niepośledni znamionującym talent. A co się tyczy samego Jana: w *Trenach* poświęconych Urszulce, mówi o niej stroskany ojciec jako dziedzicze lutni swojej; zagasło wprawdzie jój życie, zanim mogła wziąć w posiadanie ten spadek rodowy — ale że ktoś, choćby to była pokądzielna dziedziczka, powinien był w rodzinie przejąć tę lutnię, to widocznie i jemu było świadomém.

Wobec tego pierwsze próby poetyckiej twórczości Jana odnieść nam się godzi pewnie już do krakowskiej życia jego epoki. Mogłże nie poznać i nie odczytywać utworów w onych latach, które właśnie tam w Krakowie wychodziły z pod pras drukarskich? Byłto przecie już czas, gdzie A. Trzeciecki, Rej i różni inni, z imienia dziś nam nieznani pieśniarze, ogłaszali swoje rymy, które dla samej choćby już téj przyczyny, że to były polskie pieśni, zwracały na się uwagę powszechną, a zwłaszcza w gronie młodzieży krążyły z ręki do ręki. Wtedyto, za bytności Jana w Krakowie, pojawił się Rejowski *Żywot Józefa* (r. 1545); w tymże roku wyszedł z druku zbiór owych rzewnych i wielkiej piękności, choć w łacińskim wypowiedzianych języku, *Elegij* Janickiego, krótko przed ich ogłoszeniem odprowadzonego do grobu w pierwszym kwiecie młodości, że tu już inne tamtoczesne publikacje pominę. A jeżeli czytając to wszystko, podlegał Kochanowski wrażeniom, dającym nam się łatwo odgadnąć, to jakże nie miało go to porywać i do próbowania sił własnych?

Za przybyciem do Włoch otworzył się przed nim widnokrąg nierównie szerszy. Z jednej strony kult poezyi nowoczesnej łacińskiej, tak powszechny w tym narodzie, że samemi imionami ludzi, uprawiających z powodzeniem tę sztukę w téj generacyi, dałyby się zapelnąć całe kolumny; z drugiej strony narodowa włoska poezycja, w pełnym już swoim rozkwicie, z przeszłością więcej niż dwuwiekową, jak najściślej zespolona z życiem rzeczywistém ludu, który poetów swoich umiał na pamięć. Genjusz Danta wprawdzie stał jeszcze w cieniu, jak wewnątrz gotyckiej świątyni. Mało kto wtedy oryjentował się w jego kreacyi, a ztąd pozostała ona może i Kochanowskiemu

nieznana. Ale Petrarka! ale Ariost! Orland Szalony miał 60 osobnych wydań w ciągu samego XVI stulecia, a Petrarka takiem był już bożyszczem wszystkich, że każde słowo, każda sylaba przezeń użyta, służyła za przedmiot podziwu u jednych, komentarzy u drugich, naśladowania u wszystkich. Życ w atmosferze takiej — jakżeto nie miało działać na wyobraźnię tego młodego Polaka, wprowadzać go w nowe światy — wzbudzać w nim aspiracje, nieznane dla niego w ojczyźnie?

Nie wszystkie wprowadzie jego rzeczy, pochodzące z owego czasu, dają go nam widzieć pod wpływem tych włoskich wrażeń. Działał na niego i wpływ starożytnych wzorów, w ducha których miał teraz sposobność wniknąć głębiej, niż kiedykolwiek. Jego Elegije łacińskie treści erotycznój, zdradzają takie niewolnicze jeszcze naśladownictwo i poruszają się w ciasnym konwencyjnym kole książkowych reminiscencyj. Gdyby nie wiersz zawsze misternie toczony i dykeyja, jakby wykradziona klasykom, nie byłoby przyczyny zwracać na te elegije uwagi. Są jednakże i między nimi niektóre z formy i treści godne takiego poety, n. p. owa elegija o *Wandzie*, ostatnia w księdze piérwszój, złożonój po większój części z robót wykonanych we Włoszech — Uwielbienia dla Petrarki zostały ślady nietylko w kilku foricoeniach, wręcz oznaczonych jego imieniem, ale i w niektórych polskich pieśniach, bądź osnutych na temat od tego poety zapożyczony, bądź wykonany jego formą — jako sonety, piérwsze sonety w naszej literaturze. — Poemat *Szachy*, zdaniem mojem, także z owego czasu pochodzi. W początkowój swojój części (dopóki chodzi o wykład prawideł gry) jestto parafraza łacińskiego, taksamo zatytułowanego poematu M. Hieron. Vidy, współczesnego

poety, który ten swój utwór skomponował w wieku swoim młodzieńczym, nie mając więcej jak lat 20; odbywał wtedy studyja swoje w Padwie około roku 1510. (Z druku wyszedł ten poemat Vidy dopiero r. 1527). W dalszym jednak wątku Szachów autor polski porzuca swój oryginał zastępuje go własną inwencją, której akcja się rozgrywa — nie jak u Vidy, w mytologicznym Olimpie, ale w romantycznej gdzieś daleko krainie — w Danii na dworze królewskim. Choć rzecz sama, od tego miejsca poczynawszy, jest więc zupełną własnością Kochanowskiego, to któżby jednak w jej przeprowadzeniu całém nie widział oczywiście wpływu Ariosta? U tegoto tylko mistrza w tym rodzaju poezyi mógł się nasz młody poeta téj elegancyi w traktowaniu przedmiotu i téj lekkiej potoczystości w dykcyi nauczyć. — Tak samo i co do *Carmen macaronicum de eligendo vitae genere* byłbym skłonny przypuszczać, że to zabytek z téj bujnej studenckiej pory życia naszego Jana. I do tego mu dostarczyły formy gotowej wzory tego właśnie rodzaju, już wtedy istniejące we włoskiej literaturze, a właśnie z Padwą zostające w ściślejszym związku. Tylko, że Kochanowski w porównaniu z wyuzdaną swawolą swych poprzedników umiał zachować pewne jeszcze bodaj stósunkowe umiarkowanie. Jednym z tych poprzedników, był Teofil Folengo, piszący, poczynawszy od roku 1519, pod przybraną nazwą Merlina Cocaja, zmarły i pogrzebany w najbliższej okolicy Padwy, w Campese († 1544). Drugiego rzeczywiste nazwisko nie jest nikomu wiadome. Zostawił utwór, wydawany kilka razy w końcu XV wieku i później pod tytułem *Typhis Odaxii Patavini Carmen macaronicum de Patavinis quibusdam arte magica delusis*. Treść utworu Kochanowskiego nie zostaje w żadnej zawi-

słości od tój włoskiej publikacyi, ale tytuł obydwóch podobny, a sposób i mięszanina językowa ta sama.

Czynilibyśmy jednak ujmę poecie, gdybyśmy mu tu podsuwali same tylko utwory, z formy lub rzeczy zawisłe od obcych wzorów. Dostrajał on tam lutnię swoją i do uczuć własnego wnętrza, a nad owładnięciem języka musiał usilnie pracować, jeżeli tamtoczesny jego wiersz polski posiada już wszystkie znamiona prostoty, siły i wdzięku, jakie w obrębie Zygmuntofskiej epoki były właściwe dykeyi samego tylko wieszczu czarnoleskiego. Dość tu przypomnieć ową pieśń jego do Boga, zaczynającą się słowami: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary“, o której wiemy, że ona pierwsza rozstawiła imię poety, jeszcze wtedy nieobecnego w ojezyźnie, że była na jakimś zjeździe sandomirskiej szlachty w przytomności Reja i J. Zamojskiego czytana z powszechném podziwieniem, kiedy jój autor bawił jeszcze we Francyi. Czy rzeczywiście we Francyi, czy może jeszcze we Włoszech — jest dla mnie obojętném; wystarcza mi to jedno stwierdzić, że zdarzenie to mogło zajść najpóźniej r. 1555, skoro młody wtedy Zamojski, już od r. 1556 przebywający za granicą, był zjazdowi owemu przytomny. Tak więc już w tych wczesnych latach miał w swój tece Kochanowski twory takiego nastroju! Ileż innych, mniej udatnych musiało poprzednio z pióra jego wypłynąć, nim stanął na tój wyżynie!

Po takieho więc przejściach w poetyckim swoim zawodzie, przybył nasz Jan do Paryża i znalazł sposobność poznania się z Piotrem Ronsardem. Zobaczmyż teraz, jaką w chwili owój miał Ronsard przeszłość za sobą.

Był o 6 lat od Kochanowskiego starszy wiekiem, ale nie doświadczeniem pisarskiém; pod tym względem

bowiem byli oni sobie obydwa rówieśnikami, a to z powodu, że francuski poeta swoją młodość spędził poniekąd w sposobie naszego Reja i bardzo późno zasiadł do pracy. Oddany w 9 swoim roku do Collège de Navarre w Paryżu, nie zagrzał tam miejsca dłużej jak pół roku; rygor szkolny bowiem do smaku mu nie przypadał. Wtedyto ojciec, sam dworzanin królewski, przeznaczył i syna do dworskiej służby. Młody Piotr wchodzi w poczet paziów jednego z książąt krwi — znajduje w téj funkcyi sposobność nawiedzenia obcych krajów, poznaje Szkocję, Angliję, Niemcy, korzysta z tego ile możności, starając się nadrobić brak wykształcenia wrodzonym sprytem, dworskim polorem i kawalerską galanteriją francuską. W takich stósunkach upływa mu cała dziesiątka lat. Kiedy należąc do czyjegós orszaku, spędzał razu pewnego czas dłuższy w Niemczech, zapadł w ciężką jakąś słabość, w następstwie której prawie zupełnie utracił słuch — rzecz dla człowieka w jego położeniu fatalna, bo w służbie dworskiej, jak to współczesny Ronsarda biograf Binet powiada, dobrze jest mówić samemu mało, ale słyszeć trzeba wszystko, co się mówi w około. Prawdy tego powiedzenia doświadczył Ronsard nieraz na sobie. Wreszcie kiedy minął rok jeden i drugi, a głuchota nie ustępowała, zdecydował się w roku swoim 19tym porzucić swoją funkcyję nadworną. Zwraca się teraz, i to z największym zapalem, do nauk, nie zrażając się tém bynajmniej, że przyjdzie mu je rozpocząć od najpiérwszych początków. Smakował oddawna w poezyi francuskiej, więc obiera sobie kierunek nauk literacki, humanistyczny. Przy staje do dwóch najcenniejszych wtedy w Paryżu znawców starożytnéj literatury, Jana Dorata i Adryjana Turneba, i pod ich kierownictwem dni i noce trawi nad poetami

rzymskimi i greckimi, których staje się wielbicielem bezwarunkowym. Trwały te jego studia lat 7, od r. 1543 do 1550. Działo się to zatem w tym samym czasie, w którym nasz Kochanowski w Krakowie na naukach przebywał. Ale naszemu Janowi miała niedostatki w tych krakowskich jego studiach uzupełnić dalsza praca, pod okiem mistrzów włoskich. Ronsardowi smak i uczoność jego dwóch paryskich profesorów, wszystko musiała zastąpić.

Zaraz po wyjściu z pod ich opieki, zaczął się u francuskiego poety czas jego czynności autorskiej i rozgłosu osiąganego w coraz szerszych kołach. Zerwał zupełnie z dotychczasowymi w poezji francuskiej tradycjami, a natomiast postanowił sobie tak pisać, żeby to jego narodowi każdym słowem przypominało te wzory, nad których zrozumieniem i przyswojeniem sobie ich ducha tyle czasu przepędził. Zaczął od reprodukcji starożytnych liryków — i ujrzała wtedy Francya po raz pierwszy w swojej literaturze *Ody* i *Hymny* w rodzaju Horacego i Pindara. Wielkie w owych czasach na dworze francuskim, w otoczeniu królowej Katarzyny Medici, było rozmiłowanie w poezjach Petrarki. Ronsard zatem zapragnął i tę plantę przesadzić na grunt francuski: pisze sonety miłosne. Osnowy do nich mógł czerpać chyba tylko z Petrarki, bo żadna Laura nie panowała jeszcze wtedy nad jego sercem. Od czegoż jednak wyobraźnia i pamięć? Przypomniat sobie, że kiedyś dawno, kiedy jeszcze był w dworskiej służbie, gdzieś w przejeździe raz jedyny widział osobę, której piękne imię — niestety tylko imię go uderzyło: klasyczne imię Kasandra. Otóż Kasandry tej uwielbienie dostarczyło sztucznego materiału do tych sonetów, których po czasie niedługim tyle się w tece poety znalazło,

że wyszły z druku podzielone na kilka ksiąg. Również i ód wyszły wtedy od razu już cztery księgi. Prócz tych ód i sonetów, przypadają jeszcze na owe lata poematy okolicznościowe, t. j. pisane z okazji ślubów, narodzin, zgonów, wjazdów, powitań, odjazdów i innych tego rodzaju zdarzeń na dworze królewskim. Starał się i w tych utworach ściągnąć Parnas klasyczny na poziom potrzeby swojej.

Otóż takito był stan rzeczy, co do Ronsarda, kiedy się z nim Kochanowski w Paryżu spotkał, poznał i jeżeli może o tém być mowa, wszedł z nim w bliższe stósunki. Jakkolwiek bowiem w niejednym już piśmie dotyczącem Kochanowskiego, tak podniesiono tę zażyłość między nimi i tyle do niej przywiązywano ważności, że miało się od owój chwili počąć nowe dla Jana życie: to my tę zażyłość nazwać musimy tylko domysłem, nieopartym na żadnej pewnej podstawie i bardzo mało prawdopodobnym. Wszystko, co nam o tém wiadomo, ogranicza się do owych kilku słów o Ronsardzie, które znajdujemy w łacińskiej Kochanowskiego elegii, w dwa lata po powrocie jego z Francji do kraju pisanéj, w elegii do Karola. Karol ten, przyjaciel i niegdyś towarzysz podróży Kochanowskiego, był widocznie rodem Francuz i jak wszyscy wtedy jego rodacy, zapewne wielbiciel autora sonetów do Kasandry. Jak więc znalazło się w téj elegii miejsce dla przydłuższego wspomnienia, z szczerém wypowiedzianego współczuciem, o świeżo wtedy zmarłym królu francuskim Henryku II, tak też nie mogło się w niej obyć bez wzmianki i o téj drugiej tam wtedy w Paryżu znakomitości. Cała ta wzmianka jest taka:

Tutaj dał mi się widzieć ów Ronsard wsławiony,
Co do mowy ojczystej nawiązuje strony.

Słyszac go, ledwie nie rzekł, że to Orfėj wtóry
 Lub Amfion układa siedmiobramne mury,
 Że rzeki zachwycone pęd swój zatrzymały
 I na głos niesłyszany ruszyły się skały.

Mnie się powyższe słowa daleko bardziej wydają konwencyjnym komunałem, niż żeby z nich wyzierała jaka serdeczna pamięć, jaka osobista skłonność do człowieka wspominanego w ten sposób. Były te słowa tylko echem już wtedy powszechnego zdania Francuzów o tym swoim poecie: powtarza je tu Kochanowski za nimi, ale tak chłodno, jak gdyby rzeczywiście o mytycznym Orfeju lub Amfionie mówił, a nie o osobie, którą znał i darzył swoją przyjaźnią, lub którejby — w razie jeżeli takiej znajomości nie było — choć hołd uznania rzeczywiście płynący z serca i z przekonania własnego przesyłał. Ale i tego nie przypuszczam.

Ronsard za życia swego był przedmiotem uwielbienia narodu, jak mało kto przed nim i po nim; lubił on i sam siebie nazywać i drudzy go nazywali księciem poetów francuskich. Byłato jednak wielkość sztuczna i pół wieku nie upłynęło, a prysła jak bańka mydlana. Malherbe zachwiał jego sławę w podstawach. Arnauld w XVII już wieku wyrzekł, że prawdziwyto wstyd dla Francyi, że tak cenila mizerne poezyje Ronsarda.

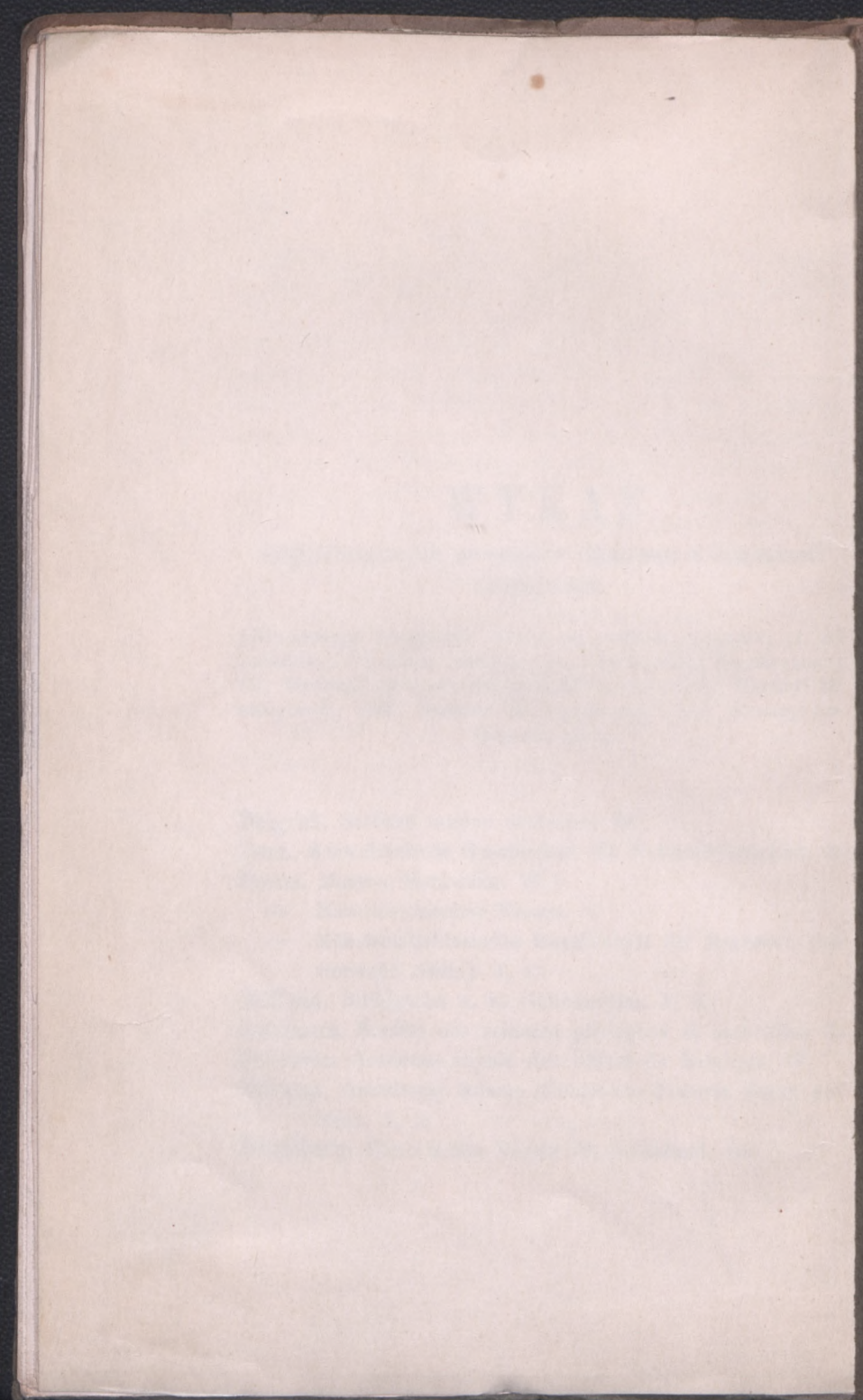
Jakiego zdania był o nim Kochanowski, kiedy w Pa-ryżu patrzył na rosnącą jego sławę, tego wiedzieć nie można. Trudno jednak nie przypuścić, aby mu i wtedy już nawet miała być obcą świadomość, że co innego jest we własnej literaturze starożytne wzory w godziwy i własnego ducha niezacierający sposób naśladować, odtwarzać, a co innego być naśladowcą niewolniczym i śmiesznym do tego

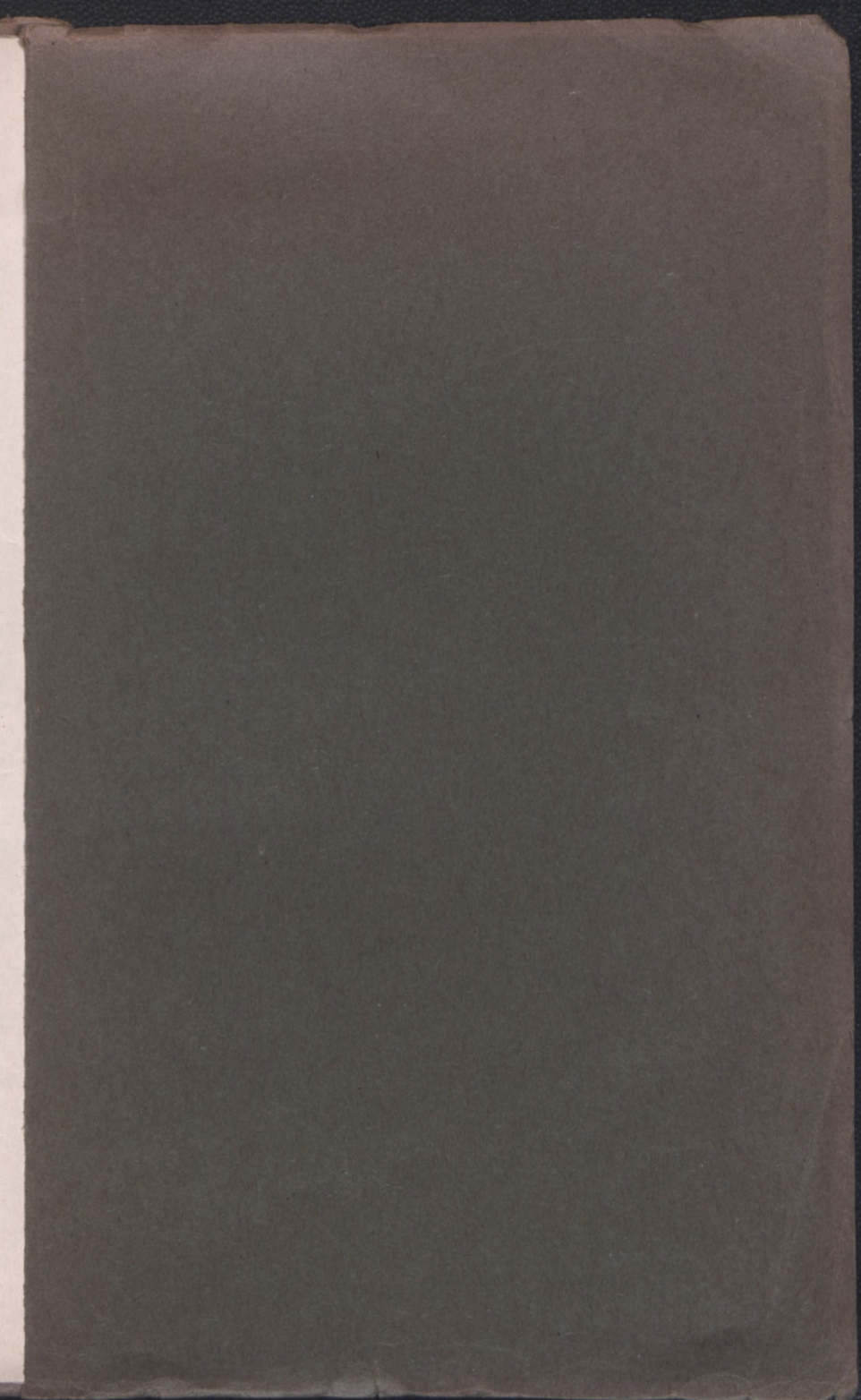
stopnia, że nie ma żadnej przesady w słowach, które Boileau o Ronsardzie powiedział: *Sa muse, en français, parlait grec et latin.*

Lecz rozwijać dalej tych stósunków obcej nam literatury nie jest rzeczą zadania mego. Mnie tu wystarcza naznaczyć, że jak styczności z żywiołami niemieckimi nie mogłem się wyżej w niczém u Kochanowskiego dopatrzeć, tak téż i owe mniemane wpływy Ronsarda na niego zdają mi się być przywidzeniem. Wpływ i kierunek stanowczy nadawała mu tylko starożytna i włoska literatura w téj epoce jego młodzieńczej, którą zamknął powrotem z Paryża do ojczyzny w roku 1557, kiedy go doszła wieść o śmierci jego matki i żądaniu rodzeństwa, aby jak najspieszniejszym przybyciem do Sycyny umożliwił czynność działów majątku rodzicielskiego.

Antoni Malecki.







I.649.034

Arch. Derm.